

Na tle nieba

Wspomnienia polskich wspinaczy
z Tatr, Alp i Kaukazu

Maciej Bernatt

Stanisław Biel

Zbigniew Jurkowski

Janusz Kurczab

słowo wstępne
Leszek Cichy

Wydawnictwo Sklepu Podróżnika
Warszawa 2015

Wschodnia ściana Matterhornu

Stanisław Biel

Kwiecień 1959. Uczestnikami obozu treningowego w Alpach Szwajcarskich są Jerzy Hajdukiewicz, Krzysztof Berbeka, Jan Mostowski, Zbigniew Rubinowski i ja – Stanisław Biel.

Pierwszy spacer po Zermatt. Otwieram drzwi. Przed oczyma płatanina budynków. Bahnhof Hotel, w którym zamieszkaliśmy, usytuowany jest na skraju osady. Wielopiętrowe hotele, przytulne pensjonaty, maleńkie wille. Główna ulica zabudowana gęsto. Przy niej przysiadły najlepsze hotele, spychając na zaplecze mieszkalne szalety.

Wkoło płaskie dachy kryte taflami łupku, kolorowo pomalowane okiennice, ozdobnym gotykiem wypisywane wierszowe strofy na drewnianych czekoladowych ścianach... Jak w bajce! Po ulicy dudnią kopyta. Para wypasionych koni ciągnie karocę. Na koźle ktoś w szarej liberii, ale karoca nie jedzie po bajkową królową – to hotelowy pojazd udaje się po gości na stację kolejową. Znad płataniny budynków strzela w górę wieża kościoła, murowana, o kwadratowej podstawie, nakryta smukłą, ostro zakończoną kopułą. Nie ona jest jednak dominantą tego uroczego górskiego zakątką, lecz Matterhorn.

Niewiele jest na Ziemi gór o tak pięknym kształcie. Czworograniasta piramida, obelisk skalny o załamany, zawieszony nad wschodnią ścianą wierzchołku, wyrasta z lodów i śniegów wysoko w niebo. Ten majestatyczny olbrzym rozłożony na pograniczu Szwajcarii i Włoch samotnie

odpiera ataki fenu, zawiei i burz. Stoi sam, wyizolowany. Tak jakby natura jak dobry architekt chciała wyeksponować swój najdoskonalszy twór. A Zermatt żyje u stóp Matterhornu i z Matterhornu.

Przed zdobyciem tego szczytu przez Edwarda Whympera Zermatt było małą, prawie nieznaną wioską. Z tej dawnej wioski pozostało niewiele: kilka starych, szczerbiałych od dymu szletów i oryginalnych, podpartych na czterech kolumnkach spichlerzy na zboże. Dawni przewodnicy zamienili się w hotelarzy i sklepikarzy. Na szyldach stare nazwiska: Julen, Perren, Biner, Taugwalder. Po obu stronach jezdni aż gęsto od hoteli: Victoria, Seilerhaus, Schweizerhof, Weisshorn, Pollux, – no i ekskluzywne i najdroższe: Zermatterhof i Mont Cervin Palace. Fraszka, tylko czterdzieści dwa i pół franka (dziesięć dolarów) za dobę. Cena za pokój z utrzymaniem, ale bez opału, kąpieli, napiwków, taksy kuracyjnej – i to za minimum trzy dni. Pomimo cen gości nie brak. Co krok dobudowuje się kolejne piętra, rosną nowe gmachy. Jak widać, z turystyki żyje się nieźle. Miejscowość jest znana na całym świecie. W wielu językach pisze się o niej w broszurach reklamowych.

(...) Trzy trasy, wiele terenów zjazdowych. Kolejka zębata na Gornergrat. Kolejki linowe: z Zermatt na Schwarzsee oraz z Gornergrat na Stockhorn. Wyciągi krzeselkowe: Zermatt–Sunnegga i Findeln–Sunnegga. Wyciąg narciarski na Blauherd. Szwajcarska szkoła narciarstwa z osiemdziesięcioma płatnymi instruktorami. Około pół miliona gości rocznie.

Sezon bez mała cały rok. Doskonała komunikacja – tania benzyna, dobre drogi, kolejki linowe i zębate, wyciągi – to wszystko kusi: „skorzystaj, to dla ciebie”. W hotelu, na ulicy, w sklepie uśmiechnięte twarze. Wszyscy uprzedzają twoje życzenia. Ale nie za darmo. Tu wszystko ma swoją cenę, nawet uśmiech. Z uśmiechem na ustach wyciska się franka po franku. Robi się to wspaniale. Nikt się nie narzuca, nie zmusza. Po co? Wszystko ma swoją cenę, a że słoń – trudno, możesz nie skorzystać...

Wioska ufundowała tablicę pamiątkową Whymperowi i pomnik rodzinie pierwszych hotelarzy – Seilerów. Nie za darmo. To oni zrobili z tej osady to, czym jest dziś.

- Zermatt ma swe stare prawa.

Twarz ogorzała, ściągnięta, przypominająca posąg – posąg nadgryziony przez lata i posiekany wiatrem. Nasz rozmówca to stary przewodnik. Mówi dalej:

- Rządzimy się patriarchalnie. Dochody gminy rozdziela się między mieszkańców, choć nie wszystkich, tylko burgerów.

- Kto to są burgerzy? – Mostowski uprzedził moje pytanie.

- To potomkowie starych tutejszych rodów, tych, które kolonizowały te okolice – podniósł głowę do góry. – Do nas należy cała okolica: góry, powietrze, woda... Ot, spółka Grande Dixence chce ściągać wodę spod tutejszych lodowców i tunelami sprowadzać do sąsiedniej doliny, gdzie buduje się olbrzymią zaporę. Musi nam zapłacić, bo inaczej nie pozwolimy. Muszą też zagwarantować, że Matter Visp będzie miał dostateczną ilość wody. Nie chcemy pozwolić, by ten bystry potok towarzyszący kolejce stracił coś ze swego groźnego piękna.

- To znaczy, że macie tutaj dwie kategorie mieszkańców – Hajdukiewicz przerwał dalsze wywody Binera – burgerów i ludność napływową?

- Tak. I ten podział nie jest tylko formalny. Burgerzy mają specjalne ulgi podatkowe, dzielą się dochodami i rządzą gminą.

Zaskoczyło nas to. Milczenie się przeciągało. Stary sądził, że nie rozumiemy.

- Widzicie, mnie jest nieźle. Prowadzę hotel, podatki mam nieduże. Pod koniec roku płacę w gminie powiedzmy trzysta franków w jednym okienku, w drugim odbieram swój udział w zyskach gminy. Często mi jeszcze zostaje... Ale taki Seiler musi dość się nagimnastykować, by ze swoich hoteli zapracować na chleb... z masłem.

- Kto? Seiler? – Zbyszek Rubinowski nie mógł uwierzyć. – Z tych Seilerów, co założyli pierwszy hotel? Tych z pomnika? – upewniał się.

- *Ja* – kiwnięcie głową.

- Toć przecież oni byli w Zermatt już w pierwszej połowie XIX wieku! Gmina im wiele zawdzięcza!

- *Ja*, ale to nie burgerzy. Nie mogą się równać z Aufdenblattenami, Binerami, Furrerami, Gravenami, Julenami – przerwał, by zaczerpnąć powietrza – Kronigami, Perrenami, Lauberami czy Taugwalderami. Przybyli później.

– Tutaj rozróżnia się miejsce urodzenia i miejsce pochodzenia – włączył się Jurek Hajdukiewicz. – Jest to nawet w paszportach.

Spojrzał na Zbyszka.

– Gdybyś teraz został w Zermatt, to za dwieście lat twoje dzieci urodzone w Zermatt pochodziłyby z Zakopanego.

– No dobrze – nie wytrzymałem – to znaczy, że normalny mieszkaniec nie ma nic do gadania – nie urodziłeś się burgerem, to szlus, nawet na cmentarzu leżysz osobno? Do diabła, przecież to Europa, a nie Indie...

Nasz rozmówca patrzył zdziwiony.

– No pewnie. Chcesz żyć w Zermatt, przyszedłeś na gotowe, to siedź cicho i płąć.

My w Zermatt czujemy się nieswojo. Nie mamy najistotniejszej tutaj rzeczy – pieniędzy. Wyrrywamy się w góry. Tam przynajmniej nie jesteśmy gorsi. Po turach aklimatyzacyjnych w masywie Monte Rosy i na Rimpfischhornie naszym celem jest Matterhorn.

Gospodarz naszego hotelu, stary Biner, jest pracowity, krząta się koło budynku bez ustanku. Ostatnio zabrał się do przebudowy suteryn. Z siłą, której mógłby mu pozazdrościć niejeden młody, kuje łomem w mur. Poszerza okna. Na mój widok przerwał pracę, otarł pot z czoła, uśmiechnął się i zagadał:

– Jakie macie plany? Gdzie się teraz wybieracie?

– Chcemy pójść na wschodnią ścianę Matterhornu.

Obrócił się. Wzrok jego skierował się ku widocznemu szczytowi.

– Nie jest tak źle. Do Schulter¹ jakieś trzy do czterech godzin, dalej tyle samo. Pogoda dobra.

– Pardon, pan mówi, że kopała szczytowa da się przejść w trzy do czterech godzin? Przecież Carrel robił to dziesięć!

– Kto? Carrel? A wy nie wybieracie się na wschodnią grań?

– Na wschodnią ścianę.

Zagwizdał, twarz mu spoważniała. Drzwi od hotelu się otworzyły, Janek Mostowski zmrugał oczy na słońcu. Biner zagadnął go natychmiast.

¹ Schulter – ramię Matterhornu – system poziomych półek pod spiętrzeniem szczytowym (przyp. red.).

- Idziecie na wschodnią ścianę?
- Tak.

Milczenie. Krople wody z topniejącego na dachu śniegu spadały powoli na płyty chodnika. Wreszcie...

- Na drugie przejście? – dla pewności wyciągnął rękę i pokazał na palcach.
- To droga nie była jeszcze powtórzona? Od 1932 roku?
- *Ja.*

Ogarnęło nas zdziwienie. Wschodnia ściana Matterhornu nie wyglądała tak groźnie. Śnieżne zbocze przeplatane żeberkami skalnymi było strome, to fakt, ale stromizna innych ścian była większa. Dopiero jakieś dwieście–trzysta metrów od szczytu ściana stawała dęba. Tam są trudności. Tylko trzysta metrów! Dlaczego więc nikt tej drogi nie powtórzył...? Pytanie zawisło w powietrzu.

Stary się zamyślił.

- Przewodnicy nie pójdą na taką drogę – powiedział. – Wolą grań Hörnli czy Zmutt, dostają za nie po sto dwadzieścia franków. Po co mają się wspinać, narażać? Wschodnia ściana jest niebezpieczna: lawiny, kamienie – dodał, widząc pytanie w naszych oczach.

Przewodnicy. Tylko kilku z nich może poprowadzić turystę na trudną drogę. A amatorzy? Tych pociąga głównie ściana północna. Ma swoją renomę. Tam kierują swe kroki wszyscy dobrzy alpinisci. Czasami jeszcze na grań Furggen.

- Bo wiecie – dorzucił do poprzednich uwag Biner – u nas panuje moda na przejścia amatorów. Bracia Schmitt przyjeżdżają na rowerach z Monachium, przechodzą północną ścianę, a gazety się o tym rozpisyją. Echo niesie się po świecie... Carrel przechodzi zachodnią ścianę, ba! – nawet południową, która trudnościami znacznie przewyższa północną, a jest co najmniej równie niebezpieczna – prasa milczy. Bo zrobił to przewodnik! Złośliwi dodają, że dla reklamy. Nie ma sprawiedliwości.

Ostatnie słowa nie zrobiły na nas wrażenia. Przewodników nie lubiliśmy. W naszej pamięci tkwiły ich spojrzenia ślizgające się po nas, taksujące i wreszcie odwracające się z pogardą dla alpinistów bez pieniędzy.

Lornetką gospodarza lustrowaliśmy ścianę: w dolnej partii dużo śniegu, ale góra była czarna. Dobra nasza. Z grzecznościowym pytaniem zwróciliśmy się do Binera:

- Jak pan uważa, jakie tam są warunki?

Wziął lornetkę.

– Nie wiem. Śnieg jak to śnieg. Na północy jest go mniej, wygląda lepiej.
– Nasz gospodarz wił się, aż wreszcie zaryzykował – Dotąd nie wspinaliście się wiele. Jak tam z kondycją? Ja na waszym miejscu przeszedłbym jeszcze grań Hörnli. Przejdziecie w dziesięć godzin, walcie na wschodnią. Przy okazji przetorujecie sobie zejście – usiłował złagodzić swój wyrok.

– Tak byłoby najlepiej, ale co będzie z pogodą? Czy wytrzyma? – Janek popatrzył wyczekująco.

Stary wzruszył ramionami. Potem, widząc, że ziarno nieufności, które zasiał, zaczęło kiełkować, uśmiechnął się i rzekł:

– Nie przejmujcie się. Wy sami wiecie, na co was stać. – Wstał i odszedł do swojej pracy.

– Ale was starszerek zastopował – odezwał się po raz pierwszy Zbyszek. Położył buty i spojrzął na nas. – No i co zrobicie?

– Zobaczymy, czy stary ma rację.

Zobaczymy... Przed świtem w sobotę 25 kwietnia ruszyłem z Jankiem Mostowskim ze schroniska Hörnlihütte na wschodnią ścianę Matterhornu. Koledzy mieli iść w nasze ślady następnego dnia.

W księżycowej poświacie góry są inne – srebrne, zimne i obce. Szedłem tuż za Jankiem. Pięliśmy się w górę krok po kroku. Nie było źle. Mróz związał nadtopiony za dnia śnieg. Od czasu do czasu cienka pokrywa się załamywała. Nogi wpadały głęboko w sypką masę. Pod spodem śnieg nie był związany. Wtedy serce uderzało żywiej: uwaga, może wyjechać! Staraliśmy się trzymać blisko skał. To pewniejsze. Ostrożnie, z zapartym tchem przekraczaliśmy stożki zwianego ze ściany śniegu. Janek się odwrócił. Plastikowy hełm rzucał na twarz głęboki cień. W szybce lampy naftowej przeglądał się księżyc. Hełm, reflektorek zmieniały swe położenie z każdym obrotem głowy. Nadawały mu obcy, nawet nieziemski wygląd. Astronauta (bo takie skojarzenie cisnęło się do głowy) odezwał się:

– Trzeba było wyjść o północy, księżyc świeci dostatecznie jasno. Moglibyśmy dojść do Schulter przed wschodem słońca.

– Ba!

– Popatrz – ciemności w dole pod nami przesywało kilka zimnych światel. To tam trwają prace przy zaporze Grande Dixence, największej hydroenergetycznej inwestycji Szwajcarii. Było cicho. Z odległości kilkunastu kroków słyszałem, jak raki Janka wgłębiały się w śnieg. Stok jarzył się seledynowym światłem. Nie było trudności z utrzymaniem kierunku. Miesiąc wskazywał drogę, a nawet zachęcał swym przykładem. Wspiął się po grani Furggen, podchodził już pod kopułę szczytową. Posuwaliśmy się w milczeniu. Godzina piąta, ogarnął nas mrok. Nasz konkurent księżyc obchodził uskok podszczytowy po włoskiej stronie. Pas skałek wyznaczał drogę. Nagle w ciszę nocną wdarł się huk. Wrażenie było takie, jakby walił się jakiś gmach. Potem łoskot zmalął do szumu potężnego potoku i ucichł. Powtórzyło go echo. Janek się zatrzymał. Przywarł do wbitego czekana.

– Seraki. Cholera, tak wcześnie.

Na ogół się przyjmuje, że seraki obsuwają się dopiero po wschodzie słońca. Turnia lodowa się wali, uderza o stok i się rozбивa. Bloki lodowe pędzą, koziołkując w dół. Towarzyszy im zwykle lawina śnieżna. Biada temu, kto stanie na drodze.

– Już trzeci raz obserwuję urwanie seraków o tej porze – Mostowski popatrzył na mnie z zainteresowaniem. – Na Col de la Fourche, poszła wtedy lawina spod Aiguille Noire de Peuterey. Potem na Mont Blanc. No wiesz... Wtedy, gdy zginął Żuławski.

– Tę to pamiętam aż za dobrze. Miałeś o niej zapomnieć.

– O tak. A ta jest trzecia.

Ciemności nie trwały zbyt długo. Za naszymi plecami na wschodnim kraju nieba rozpoczęła się stara jak świat walka. Kibicujące jej gwiazdy stawały się mniej wyraziste, oddalały się, wreszcie znikły. Wstawał dzień.

– Szczelina brzeźna – Janek zatrzymał się. – Zmień mnie.

Ruszyłem do przodu. Godzina w pół do szóstej. Szczelina nie była duża. Na ścianie śnieg był lepszy. Większe nasłonecznienie, no i oczywiście stromizna zrobiły swoje. Na stromym stoku świeży śnieg nie trzyma się długo, zjeżdża do kotła. Tam rzeczywiście było go sporo.

Szliśmy na kolcach raków. Wykręcone kostki się buntowały. Kopuła szczytowa Matterhornu pokryła się purpurą. Wstające słońce zabarwiło szczyty na krwisto. Śnieżne stoki nabrały koloru rubinu. Na dole, w Zermatt, panował jeszcze mrok.

Czas mija. Słońce praży coraz intensywniej. Twarda dotąd pokrywa śnieżna wiotczeje. Żar bijący z nieba wysysa siły. Całe szczęście, że nad nami nie ma seraków. Są za to kamienie. To one bronią ścian Matterhornu. Bronią, i to dzielnie. Bombardują śmiałków, a że skutecznie – o tym można przekonać się na cmentarzu w Zermatt. Wlecemy się krok po kroku. Drogi nie ubywa. Trudności nadal nie są zbyt duże. Tylko ten śnieg i słońce. Idziemy z lotną asekuracją. Coraz częściej pod rakami zgrzyta skała. Płyty.

Zbliża się południe. Hełm na głowie ciąży. Pot wgryza się w oczy, zalewa okulary. Gorąco. Słońce jest wszędzie, od góry pali kark, na dole odbija się w kryształkach śniegu. Tysiące, miliony maleńkich słońc razi. Nie pomagają ciemne szkła. Język przysycha do podniebienia, jest szorstki i sztywny.

- Staszek, zatrzymamy się na tych skałkach?
- Dobrze.

Skałki nie są gościnne: dachówkowate, płytowe i strome. Nie ma gdzie usiąść. Może wyżej. Pięćdziesiąt metrów, sto. Psiakrew, i z lewa, i z prawa gładka stroma grządką.

Nareszcie. Stopień skalny. Skręcam w lewo. Z ulgą zrzucam plecak. Dochodzi Janek. Zdejmuje hełm, ociera pot z czoła. Zlepione kosmyki włosów spadają mu na czoło.

- Daj herbatę, konam z pragnienia.

Podaję mu flaszkę. Przywiera do niej łapczywie. Pije dużymi haustami. Zachłystuje się.

Ja życiodajny płyn piję drobnymi łykami. Zatrzymuję go w ustach jak najdłużej. Delektuję się. Chciałbym, aby ta chwila trwała długo. Czuję, że językowi z wolna powraca dawna giętkość.

Daleko pod stopami płaszczyna śnieżna przecinająca cieniutką, ledwie widoczną nitkę śladów. Mikroskopijne punkciki to ludzie. Nasz stok pędzi ku nim stopniowo w dół, urywa się barierą seraków, przeskakuje uskokiem skalnym i łączy się z olbrzymim śnieżnym płaskowyżem – niecką lodowca Furggen. W tę płaszczynę szerokim językiem wdziera się gruz lodowy. To pozostałość po nocnej lawinie seraków.

Południe. Koszulę mam mokrą od potu. Trudności wzrosły. Coraz częściej raki zgrzytają o skałę. Na gładkich płytach warstwa świeżego śniegu. O właśnie... Ręka zgarnia śnieg, nadaremnie szukając zaczepienia – tu nie

ma, tutaj też nie. Wreszcie małeńki chwycik, podciągam się samymi koniuszkami palców. Stopnie także niewyraźne.

Zaczyna być nieprzyjemnie. Stopy zaczepione tylko przednimi kółkami raków drżą...

Cholera! Szybko, haka!

Nie ma szczeliny.

– Janek, uważaj! Mogę polecieć!

Mostowski skrócił linę, zapał się lepiej i czeka. Lewa ręka sięga chwytu. Lepiej, chociaż nie ma gdzie postawić nóg. Byle metr wyżej.

Zęby raków obsuwają się po płycie. Oparłem je tylko na tarcie. Szlak, którym podchodziliśmy, wydaje się stąd nieprawdopodobnie stromy. Doleciałbym aż na lodowiec. Ryzykuję. Szybki przerzut i stoję na upragnionym stopniu. Poprawiam hełm, który spadł mi na czoło. Ale i tutaj nie jest wygodnie, stopień nie wystarcza dla obu nóg. Janek w skupieniu przepuszcza linę. Głowa podniesiona, obserwuje bez przerwy.

Pomaleńku zdobywam metr po metrze. Nagle... w uszy wdziera się przeraźliwy łomot. Huk rozrywa bębunki. Drży skała. Odruchowo osłaniam głowę, żołądek podskakuje, serce kołacze gwałtownie i zamiera. Na pewno lawina. Rozpaczliwie przywieram do skały. Kątem oka zauważam coś dużego. Wyskoczyło z dołu i leci w górę, wprost na wierzchołek.

– O, skurwysyn – Janek też przylepił się do stoku. Głos drży mu z emocji. Wyprostował się.

– Pędził równoległe do ściany, na małej wysokości, od dołu na nas. Nad szczytem zrobił półbeczkę. Myślałem, że spadniesz.

Przerażenie z wolna ustępuje. Rozluźniam palce zaczepione za jakiś orzeszek. Łapał je już kurcz. Odzywa się rozsądek.

– Uważaj, mogą polecieć kamienie.

Janek ponownie przywiera do śniegu. Powietrze drży jeszcze od wstrząsów. Siła motorów odrzutowca to nie byle co... Jak coś polecisz, to nie dam rady uskoczyć, ledwie się trzymam! Strach dodaje mi sił i w kilka chwil jestem pod przewieszką kilka metrów wyżej. Poprzednio miałem tu zasadnicze trudności.

Kilka uderzeń młotka, hak i oddycham. Teraz dopiero posypały się przekleństwa.

Spis treści

SŁOWO WSTĘPNE	3
NA JEDNEJ LINIE Z ŻUŁAWSKIM	
STANISŁAW BIEL	5
WSCHODNIA ŚCIANA MATTERHORN	
STANISŁAW BIEL	32
ZIMOWY KOMIN POKUTNIKÓW	
MACIEJ BERNATT	57
NA PÓŁNOCNEJ ŚCIANIE MATTERHORN	
STANISŁAW BIEL	71
PÓŁNOCNA ŚCIANA EIGERU	
STANISŁAW BIEL	84
GWIAZDY I BURZE NAD KAUKAZEM	
ZBIGNIEW JURKOWSKI	131
<i>HATS OFF TO PHILIPP!</i>	
JANUSZ KURCZAB	179
<i>DROIT ZNACZY PROSTY</i>	
JANUSZ KURCZAB	206
ZIMĄ NA WIELKIM FILARZE NAROŻNYM	
JANUSZ KURCZAB	220